



Leonard Karolewski (1908-1982)

# Leśniczy LEONARD KAROLEWSKI

(1908-1982)



ędąc na zjeździe maturzystów w Tucholi, w lipcu 2011 roku, spotkałam koleżankę z lat szkolnych, z którą nie widziałam się 58 lat. Była to Marysia Szupryczyńska (z domu Urbańska), która obecnie mieszka w Toruniu i pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Były szczere rozmowy i wspomnienia z młodości. Okazało się, że losy jej taty i mojego były podobne: obydwaj byli leśnikami w tym samym czasie, w tej samej toruńskiej dyrekcji Lasów Państwowych, nawet pracowali w tym samym nadleśnictwie, choć nie równocześnie. Dowiedziałam się, że w „Biuletynie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu” znajduje się stały dział „Karty z naszej historii”. Odpowiadając na zaproszenie redaktora Biuletynu, Tadeusza Chrzanowskiego, podjęłam się opisanie historii mojego Ojca.

## MARGONIN I POCZĄTKI PRACY ZAWODOWEJ

Mój ojciec Leonard Karolewski urodził się w 1908 roku w Gnieźnie, w rodzinie niezbyt zamożnych kolejarzy. Był najstarszy w sześciuosobowej gromadce dzieci. Warunki bytowe rodziny Karolewskich były skromne, ale babcia Konstancja, jak na tamte czasy osoba światła, lubiąca czytać książki, postanowiła, że najstarszy syn Leonard musi mieć dobry zawód i wykształcenie. Po części to ona sprawiła, że wybrał leśnictwo.

Najbliższa szkoła leśna znajdowała się wówczas w Margoninie, toteż Tato podjął tam naukę, którą pomyślnie ukończył w 1930 roku, zdobywając zawód leśnika. Pracę otrzymał w Leśnictwie Promno koło Gniezna, lecz nie na długo, gdyż został powołany do wojska. Służbę odbywał w Poznaniu. I tam pewnego dnia, będąc na przepustce, wraz z kolegami odwiedził ich koleżankę Zofię. Znajomość ta przerodziła się w uczucie. Moi rodzice Leonard i Zofia pobraли się w czerwcu 1935 roku.

Młoda para, wraz z bogatym wianem – gdyż ojciec Zofii był zamożnym gospodarzem – zamieszkała w wyznaczonej Ojcu leśniczówce Małki w Nadleśnictwie Mszano koło Brodnicy. Był to mały dom z cegły, z ogródkiem, położony malowniczo pośród lasu, nad rzeczką. Do Brodnicy stamtąd było pięć kilometrów. Ojciec pracował w nadleśnictwie na stanowisku leśniczego administracyjnego. Rodzice szybko nawiązali znajomości z sąsiadami i odwiedzali się wzajemnie. Pożyczali bryczkę od gospodarza i jeździli do sąsiednich leśniczówek. Życie towarzyskie kwitło. Po roku urodziła się pierwsza córka Halina.



Leonard Karolewski (drugi od lewej) jako absolwent Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie. Rok 1930



Zofia i Leonard Karolewscy w dniu ślubu, 30 czerwca 1935 r.



Po trzech latach pracy w Małkach nasza rodzina przeprowadziła się o dobre sto kilometrów dalej, na teren Nadleśnictwa Leśno, gdzie Ojciec awansował na sekretarza nadleśnictwa. Zamieszkali w osadzie oddalonej o dziesięć kilometrów od Kowalewa. Leśno składało się wówczas z dwóch domów jednorodzinnych otoczonych ogrodami. Dalej był jeszcze kilkunastu dom i piękny pałac, w którym mieściło się nadleśnictwo. Miejscowość otoczona była lasem i płynęła tam urokliwa rzeczka. Za zarobione przez Ojca pieniądze rodzice kupili wkrótce krowę i świnkę, bo trzeba było być samowystarczalnym. Później nabyli też pierwsze radio.

W 1939 roku zaczęto coraz częściej mówić o wojnie. Pewnego dnia do biura nadleśnictwa zadzwonili z dyrekcji w Toruniu, że wojna jest nieunikniona. Odbywały się gorące dyskusje w radiu i pośród znajomych. Pocieszano się, że Polska jest silna i nie podda się, że mamy mocnych sojuszników i wspólnie poradzimy sobie z najeźdźcą. Ogłoszono ewakuację cywilów i mobilizację mężczyzn. Tato miał się stawić w swoim pułku w Grudziądzu. Rodzice wsiedli zatem na rowery i pojechali do najbliższej stacji kolejowej, odległej o dziewięć kilometrów. Na dworcu odbyły się smutne pożegnania. Kobiety płakały, a mężczyźni dodawali sobie otuchy, śpiewając: *Wojenko, wojenko...*

## WOJNA

Tato pojechał do miejsca swego przeznaczenia. W działaniach wojennych przemieszczał się na koniu, gdyż służył w żandarmerii wojskowej. Pierwszy niemiecki atak przeżył przy granicy z Prusami Wschodnimi. Był to nalot samolotów myśliwskich, przed którym – jak później opowiadał – zdołał się ukryć w pobliskim lesie.

Kilka dni po wyjeździe Ojca zarządzono ewakuację leśnych rodzin. Nadleśniczy zorganizował wozy konne. Mamę i mnie, razem z dobytkiem – pościelą, ubraniami, zapasem żywności – dołączono do wozu z rodziną leśniczego Tadeusza Babireckiego. Wyruszyliśmy w nieznaną, przez Drwęcę w kierunku Warszawy. Na noclegi zatrzymywaliśmy się w przygodnych domach lub w stodołach. Gospodarze mieli obowiązek przyjmować i przenocować ludzi. Gotowanie odbywało się najczęściej na ognisku, czasem na udostępnionej kuchni. Jechaliśmy całe dnie, aż dotarliśmy do Kutna. Szosy były zatłoczone wojskiem i uchodźcami. Ostatecznie, nakazano nam powrót do miejsca zamieszkania, by ułatwić przemieszczanie się wojska. I tak po kolejnych dniach tułaczki wróciliśmy z mamą do spustoszonego Leśna. Po jakimś czasie, po licznych i dramatycznych przygodach wojennych, powrócił do nas również Tato.

Nieopodal Leśna była wówczas – nieistniejąca już dzisiaj – leśniczówka Strębaczo. Mieszkający tam leśniczy uciekł przed Niemcami i osada stała pusta. Tato dostał polecenie od nadleśniczego, że ma się tam przenieść wraz z rodziną i pracować jako pomocnik najbliższego leśniczego. Niemcy uważali Pomorze za swoje terytorium. Mieszkających tu młodych Niemców brali do swojego wojska, Polakami na razie obsadzali niektóre, podrzędne posady. Leśniczówka Strębaczo była



Spotkanie w gronie znajomych w Strębacznie w 1941 r. Od lewej: Leonard i Zofia Karolewscy

urokliwie położona pośród lasów. Do Leśna było stąd dwa kilometry, a do Kowalewa – dziewięć. Tam też urodził się mój brat Andrzejek, a przy porodzie mamie pomagał lekarz przywieziony furmanką z Golubia.

Tato prowadził wyrąb lasu. Mama z babcią zajmowały się gospodarstwem domowym, hodowały gęsi, kury i kaczki. Była też krowa i świnka. Tymczasem los Polaków był coraz trudniejszy. Byli zabierani do obozów koncentracyjnych, albo wywożeni do pracy u niemieckich gospodarzy. W końcu też młodych mężczyzn kierowano do niemieckiego wojska, gdyż potrzebni byli żołnierze na front wschodni. Na Pomorzu wprowadzono obowiązek służby w Wehrmachcie również dla Polaków zatrudnionych w urzędach państwowych. W 1942 roku Tato dostał wezwanie do Grudziądza, do niemieckiej armii. Obie z mamą, zapłakane, żegnałyśmy (może na zawsze?) tatę na dworcu. Po przeszkoleniu dostał on najpierw skierowanie na front wschodni. Uratowała go choroba. Po wyleczeniu wysłano go na zachód, w głąb Niemiec aż do granicy z Holandią. Później trafił do Francji nad Atlantyk, w okolice Lorient w Bretanii. W walkach nie brał jednak bezpośrednio udziału, gdyż służył w batalionie zaopatrującym wojsko w żywność. Z Francji pisał do nas pełne tęsknoty listy i pocztówki, a nawet jeden raz przyjechał do Strębaczna na krótki urlop.

W Strębacznie powodziło się nam nieźle. Mama z babcią, która mieszkała w czasie okupacji u nas, prowadziły dość duże gospodarstwo. Hodowały krowy, trzodę chlewną, całe stada kur, gęsi i kaczek, uprawiały ogród i kawałek pola. Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem. Toteż chętnie odwiedzali nas goście, przyjeżdżali znajomi z Kowalewa i Torunia. Najczęściej celem takich spotkań była wymiana wiadomości o wojnie i wzajemne podtrzymywanie się na duchu, że „już niedługo”.

Pod koniec wojny spokój mojej mamy został zakłócony. Pewnego dnia przyszedł do nas „trojchender” (der Treuchander – zarządca), czyli sołtys tego terenu – Niemiec i oznajmił, że wpłynęło pismo z gestapo w sprawie wysłania naszej rodziny do Oświęcimia. Okazało się, że wśród Niemców też byli porządni ludzie. Umówił się z mamą, że to pismo przetrzyma, jak długo się da. Może wiedział, że wojna na wschodzie przechylała się na naszą korzyść, bo Niemcy właśnie uciekali spod Stalingradu. Aż nastąpił taki dzień, kiedy na niebie pojawiły się eskadry samolotów. Wtedy spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i przenieśliśmy się do piwniczki wykopanej na podwórku. Mama dowiedziała się, że wojska sowieckie są już niedaleko.

Pamiętam noce pełne trwogi, kiedy słyhać było detonacje z walk pod Grudziądem. Budziłam się pełna przerażenia i płakałam. Detonacje w końcu ucichły, śnieg pokrył ziemię i drzewa. Drogi do leśniczówki były zasypane. W domu było teraz cicho, ciepło i przyjemnie. Był już styczeń 1945 roku, kiedy babcia wpadła do naszego pokoju z wiadomością, że drózką leśną od Kowalewa jadą wojskowe samochody i czołgi. Po chwili gazik zatrzymał się przed naszą furtką. Wysiadł z niego kapitan

w futrzanej czapce i wszedł do domu. Przebiegł wszystkie pokoje pytając, czy jest tu „germaniec”. Gdy go nie znalazł, zapytał o drogę na Leśno. Tam rozłożył się sztab wojsk sowieckich. Nazajutrz odwiedziła nas znajoma z Leśna z ostrzeżeniem: *chowajcie wszystko co się świeci, bo ruscy zabierają, zwłaszcza zegarki*. Babcia pochowała głęboko zegarki i sztućce. Później poszliśmy do Leśna. Na polance obok osady rozłożonych było mnóstwo ogromnych namiotów wojskowych. Stały też samochody ciężarowe i gaziki. Na niektórych, spod lakieru, przebijały napisy „U.S.A.”

Po kilku dniach podjechał pod leśniczówkę samochód ciężarowy, z którego wysiadł sowiecki oficer. Oznajmił, że zajmuje jeden pokój, w którym zamieszkają Rosjanie: kinooperator, kierowca, fotograf i tzw. bajonista, który grywał na harmonii. Byli to młodzi, spokojni i dość kulturalni chłopcy. Wieczorami mieliśmy muzykę, a raz zaprosili nas nawet na film pt. „Obrona Stalingradu”, wyświetlany w stodole przy siedzibie nadleśnictwa w Leśnie. Niekiedy przynosili nawet coś do zjedzenia z wojskowych zapasów. Po jakimś czasie sztab wojskowy zwinął się i odjechał. Zaczęło się normalne życie i świadomość, że dla nas wojna się skończyła.

Pewnego wiosennego poranka pod leśniczówkę podjechał wóz konny. Wyskoczył z niego dwóch wojskowych oznajmiając, że rekwirują różne rzeczy dla wojska polskiego. Zabrali z domu wszystko, co było do jedzenia: zapasy wędlin, mięsa, kury, poza tym ciepłą odzież i, o dziwo, moje sukienki. Za wozem uwiązali jałówkę. Wychodząc, jeszcze raz podkreślili, że *to wszystko dla wojska polskiego*. Niebawem okazało się, że była to banda rabusiów podszywająca się pod wojskowych. W okolicy takich band grasowało więcej.

Od września 1945 roku otwarto szkoły. Trafiłam do jednoklasowej szkoły w Chełmoniu, ale w ciągu roku przerobiłam materiał z czterech klas, gdyż w czasie wojny uczyła mnie mama. W 1946 roku, kiedy już wojna przebrzmiała, również w lasach rozpoczęto porządkowanie i prace gospodarcze. Mieszkaliśmy nadal w leśniczówce Strębaczno, ale lasem zajmował się nowy leśniczy Woźniak, który przybył z Torunia. Ojciec jeszcze nie wrócił z wojny.

Wkrótce przybyli do Strębaczna państwo Tułodzieccy. Żona leśniczego była w zaawansowanej ciąży. Pewnego dnia pojechała do szpitala i na świat przyszły bliźniaki – Roman i Tadeusz, co było dla wszystkich dużym zaskoczeniem. Moja mama dzielnie pomagała słabej i zapracowanej kobiecie w codziennych obowiązkach. Wkrótce jednak leśniczego Tułodzieckiego przeniesiono do leśniczówki Tołułka w sąsiednim Nadleśnictwie Konstancjewo.

## UCIECZKA TATY

Tymczasem Tato, wcielony do niemieckiej armii przebywał na terenie Francji i wraz z grupą kolegów Polaków szukał sposobności, jak uciec z wojska. Okazja nadarzyła się, kiedy przepędzali krowy w pobliżu zaminowanego pola. Krowy się rozbiegły, miny zaczęły wybuchać, rozrywając zwierzęta. Ojcu błysnęła myśl, aby



po śladach krów uciec z kolegami do najbliższej miejscowości. Tak też uczynili i zaraz nawiązali kontakt z francuskim ruchem oporu. Jakiś czas ich badano. Kiedy okazało się, że mówią prawdę, skierowano do Anglii, gdzie trafili do wojska polskiego dowodzonego przez generała Maczka. Później Tato został przeniesiony do Glasgow w Szkocji, gdzie służył już do końca wojny.

Po ucieczce Taty z niemieckiego wojska mama otrzymała pismo z Berlina, że jej mąż zaginął na wojnie. Później pojawiło się, wspomniane wcześniej, pismo z gestapo do miejscowego wójta Niemca, żeby naszą rodzinę skierować do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Widać odkryli fakt dezercji Taty. Mama przeżywała gehennę, jednak cały czas miała nadzieję, że mąż jej gdzieś żyje. Dopiero po zakończeniu działań wojennych przyszło zapytanie z Czerwonego Krzyża, czy żyje rodzi- na Leonarda Karolewskiego. Później dotarł list z Anglii. Tato pisał, że szczęśliwie przeżył wojnę i niebawem wróci do Polski, bo już zapisał się do obozu przejściowego. Tęsknił za rodziną i za krajem.

I tak, pewnego czerwcowego dnia 1946 roku, stanął przed drzwiami naszej leśniczówki, w angielskim mundurze, z tobołkiem w ręku. Tak skończyła się dla nas ta okropna wojna.

## LOSY RODZEŃSTWA OJCA

Siostry mojego Ojca, Emilia i Oleńka, jeszcze przed wojną wyszły za mąż za oficerów Wojska Polskiego. Obie zamieszkały w miejscowości Korzec koło Równego, na polskich Kresach. W 1937 r. Emilia urodziła synka Zbyszka. Obydwu rodzinom powodziło się dobrze. Dramatyczna zmiana nastąpiła z chwilą wybuchu II wojny światowej. Po napaści Związku Sowieckiego mąż Emilii trafił do Kozielska i został zamordowany przez NKWD w Katyniu.

W tym czasie, w kwietniu 1940 roku Rosjanie wywozili całe rodziny polskich oficerów na Sybir. Deportacja dotknęła również Oleńkę, Emilię i jej dwuletnie dziecko. Obie siostry trafiły do Kazachstanu, gdzie mieszkaly i pracowały w katorżniczych warunkach, o głodzie i chłodzie. Mieszkali kątem u biednej rosyjskiej „hadziajki”. Chałupka była maleńka, jednoizbowa. Mieszkali w niej wszyscy, a była tam też świnia i krowa – żywicieli rodziny. Pomieszczenie ogrzewało się krowimi odchodami, suszonymi latem na słońcu. Zimą, pod grubą warstwą śniegu, spod której wystawał tylko komin, w chałupce było ciepło. Jednak w tak ciężkich warunkach życia, stałego niedożywienia i ciężkiej pracy o chorobę nie było trudno. Emilia zapadła na gruźlicę krtani i wkrótce zmarła. Została na zawsze w obcej ziemi. Oleńka i siedmioletni już Zbyszek (syn Emilii) po zakończeniu wojny przez trzy miesiące wracali transportem kolejowym do Polski. Aż wreszcie trafili do Gniezna, do rodzinnego domu.

Młodszy brat Taty, osiemnastoletni Zbyszek, działał w Armii Krajowej. Po wojnie, już przez władzę ludową, został za to skazany na siedem lat ciężkiego więzienia we Wronkach. Odsiedział cały wyrok. Później założył rodzinę i zamieszkał w okolicach

Zielonej Góry. Kolejny brat Taty – Edmund miał więcej szczęścia. Po wojnie, wraz z żoną Janką podjął pracę w Nadleśnictwie Tuchola, niedaleko Świtu, gdzie już i my wówczas mieszkaliśmy. Oboje pracowali w nadleśnictwie do emerytury, a ich córka Basia po latach ukończyła Technikum Leśne w Tucholi i wraz z mężem znaleźli też zatrudnienie w Lasach Państwowych.

## NADLEŚNICTWO ŚWIT

Po swoim szczęśliwym powrocie z wojny do domu w Strębacznie, Tato zgłosił się w sprawie zatrudnienia do dyrekcji lasów w Toruniu. Otrzymał propozycję pracy w nadleśnictwie o pięknej nazwie Świt, położonym w Borach Tucholskich. Pojechał obejrzeć miejsce pracy i wrócił zauroczony. Leśniczówka była położona w lesie, na skarpie Brdy. Był to piękny dom z dużym podwórkiem, zabudowaniami gospodarczymi i ogrodem kończącym się na brzegu rzeki. Decyzja była szybka – przeprowadzamy się w okolice Tucholi.

Jednak nie wszystko tam było takie proste i łatwe. Do lampy naftowej byliśmy co prawda przyzwyczajeni, ale dojazdy Taty do pracy i moje do szkoły były uciążliwe. Nadleśnictwo mieściło się w oddalonej o pięć kilometrów Tucholi, gdyż dawna siedziba w Świcie była zniszczona w czasie działań wojennych. Toteż w uroczym Świcie całe dnie przebywała tylko mama z synkiem Andrzejem, a my z Tatą jeździliśmy do Tucholi rowerami. W 1948 roku urodziła się moja siostra Wanda, a w 1949 – Bogumiła.

Czasy powojenne były ciężkie, ale nam jedzenia nigdy nie brakowało. Mama hodowała dwie krowy, świnie, stado kur, kaczek i indyków. Pracowała bardzo ciężko, ale dzielnie pomagał jej w tym Ojciec, który zaraz po powrocie z pracy w lesie brał się za obrządek. Zimą przy naszej leśniczówce całymi tygodniami nie było widać żywej duszy. Natomiast latem Mama nie mogła opędzić się przed letnikami. Przyjeżdżali chętnie na odpoczynek z Bydgoszczy, Gdańska, a nawet z Warszawy. Jednymi z nich byli Państwo Sadowscy z Warszawy. Nasze rodziny zaprzyjaźniły się. Mama była zachwycona, bo miała sympatyczne towarzystwo. Pan Sadowski był wykładowcą w SGPiS, a potem prezesem Głównego Urzędu Statystycznego. Za kwaterę Mama nie brała żadnych pieniędzy, ale za to miała dobrych klientów na wiejskie jaja, mleko, ser i masło.

Świt odwiedzali też często moi znajomi – koleżanki i koledzy z Liceum Ogólnokształcącego w Tucholi. Mama piekła wtedy jakieś pyszne ciasto, którym się wszyscy zajadaliśmy, a po uczcie szliśmy na spacer do lasu, najczęściej do Piekietka. Jest to cudowne i znane uroczysko nad Brdą. Spadziste brzegi porasta stary las, a w dole szumi woda w rzece, płynąc pośród ogromnych głązów.

W Świcie było urokliwie i pięknie, ale codzienne życie niosło ze sobą również określone trudy i wyrzeczenia. Tato wstawał wcześniej, pomagał mamie w obrządkach,



Założa Nadleśnictwa Świt w Tucholi w 1948 r. Pierwszy od lewej siedzi leśniczy Leonard Karolewski



Polowanie w Świcie, ok. roku 1952. Drugi od lewej leśniczy Leonard Karolewski



jadł śniadanie i wyjeżdżał do pracy w Tucholi, najpierw rowerem, a po jakimś czasie motocyklem WFM. W sezonie wiosenno-jesiennym ja też jeździłam do szkoły rowerem, a zimą, kiedy warunki były trudne, mieszkłam w Tucholi na stacji. W przedmaturalnej klasie znalazłam nawet lokum w internacie. Liceum Ogólnokształcące miało zajęcia po południu, bo przed południem odbywały się lekcje Liceum Pedagogicznego. Nie zapomnę moich nocnych powrotów rowerem ze szkoły. Cztery kilometry pustą szosą na Koronowo, a potem jeszcze dwa, leśną drogą do leśniczówki. W jednym miejscu obok drogi było bagniste zagłębienie, gdzie zazwyczaj buszowały dziki. Wtedy mocniej naciskałam pedały i spocona wpadałam na nasze podwórko.

W Świcie przeżyliśmy też wielką tragedię. Było to w czerwcu 1947 roku. Mój brat Andrzejek miał wtedy pięć lat. Był mądrym, grzecznym dzieckiem, oczkiem w głowie mamy, gdyż poza nim były dwie córki – dwunastoletnia Halina i półroczna Wanda. Wtedy w czerwcu 1947 roku, chłopiec, który pasł nasze krowy, postanowił wybrać się rowerem na drugą stronę rzeki, gdzie w opuszczonym sadzie były smaczne jabłka. Na bagażnik zabrał Andrzejkę. Gdy przejeżdżali przez prowizoryczny mostek nad Brdą, wąski i bez barierki, wpadli do rzeki. Nurt był tam szybki. Chłopiec uratował się, gdyż umiał pływać. Andrzejek utonął, choć tenże chłopiec wyciągnął go z wody na pobliskim zakolu rzeki. Na ratunek było za późno. Rozpacz rodziny była ogromna. Dla Taty była to chyba największa tragedia w życiu. Trzeba było jednak pozbierać się i twardo wrócić do codziennych spraw i obowiązków.

Tak minęło sześć lat. W 1953 roku zdałam maturę i wybierałam się na studia ogrodnicze do Poznania. Nasz wychowawca, profesor Boiński, ostrzegał mnie – *Oj Halina, po co ty chcesz brudzić sobie rączki w ziemi*. I chyba wymówił to w złą godzinę, gdyż egzamin zdałam, ale z braku miejsc na ten wydział nie zostałam przyjęta. Tato doszedł do wniosku, że pora polepszyć warunki życia rodzinie i sobie. Teraz dojeżdżał co prawda do pracy motocyklem WFM, ale moje siostry miały właśnie pójść do szkoły, a ja musiałam gdzieś podjąć pracę.

## REJON LASÓW PAŃSTWOWYCH WE WŁOCŁAWKU

W tym czasie nastąpiła reorganizacja Lasów Państwowych. Dyrekcja pozostała w Toruniu, a w terenie utworzono nowe jednostki – Rejony Lasów Państwowych, które skupiały po kilka nadleśnictw. Tato zwrócił się do Dyrekcji z prośbą o przeniesienie, naświetlając własną sytuację rodzinną. Zaproponowano mu pracę w Rejonie Lasów Państwowych we Włocławku. Rodzice wybrali się na oględziny zaproponowanego miejsca pracy, a szczególnie warunków mieszkaniowych. Nie było tak urokliwie jak w Świcie, ale za to warunki zamieszkania były wspaniałe.

Biuro Rejonu mieściło się w budynku byłego nadleśnictwa, na skraju lasu, przy osiedlu domków rodzinnych. Po sąsiedztwie biegła szosa z Włocławka do Brześcia



Pracownicy Rejonu Lasów Państwowych we Włocławku, rok ok. 1954. Pierwszy z prawej stoi leśniczy Leonard Karolewski, pośrodku siedzi dyrektor Jan Stetkiewicz

Kujawskiego. Do przystanku autobusu miejskiego było trzysta metrów. Obok głównego, okazałego budynku, w którym mieściły się biura Rejonu, były dwa mniejsze, z podwórkiem i ogrodem. Nam przypadł domek drewniany, ze stojącą obok stodołą i oborą, pokrytymi jeszcze strzechą. Mama nie była zbyt zachwycona, jednak atuty inne niż urok miejsca przeważały. Nastąpiła przeprowadzka i tak zamieszkaliśmy we Włocławku, w dzielnicy Łuba.

Od nowego roku szkolnego 1953/1954 moje siostry poszły do szkoły, oddalonej o kilometr od domu, a Ojciec i ja rozpoczęliśmy pracę w Rejonie Lasów Państwowych. Ostatecznie, cała rodzina była zadowolona z nowych warunków życia. Wszędzie było blisko – do pracy, do szkoły, na zakupy i do kościoła. Relacje z sąsiadami były bardzo dobre. Zakład pracy organizował wycieczki, wyjścia do kina. A najlepsze były zabawy sylwestrowe i karnawałowe. Tato bardzo je lubił, gdyż mógł potańczyć ze swoimi paniami – mamą i ze mną.

Tato był zadowolony z pracy. Dyrektorem Rejonu był Jan Stetkiewicz, jego kolega z czasów szkolnych i z lat okupacji. Wtedy, razem ze swoim synem Jurkiem, był częstym gościem w naszej leśniczówce Strębacznno. W albumie rodzinnym

pozostały fotografie z tamtych spotkań. Wówczas, w 1942 roku mego Tatę zabrano do wojska, a Jan Stetkiewicz trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Teraz, we Włocławku, nasze rodziny zamieszkały obok siebie. Dyrektor z rodziną w budynku po nadleśnictwie. Syn Jurek był w moim wieku, a jego młodsi bracia w wieku moich sióstr. Dość często uczestniczyliśmy w spotkaniach rodzinnych i towarzyskich. Jan Stetkiewicz był wspaniałym dyrektorem i człowiekiem. Spokojny, zrównoważony, a w pracy, kiedy trzeba – wymagający.

W budynku Rejonu oprócz biur było duże mieszkanie, które zajmował główny księgowy Władysław Golusiński. Jego córka była moją przyjaciółką, najczęściej razem chodziliśmy do kina. Golusiński był moim dobrym szefem, w jego dziale pracowałam na stanowisku rachmistrza. Pracował tam również Michał Stetkiewicz – brat dyrektora i jego żona Wanda. W pracy panowała sympatyczna atmosfera, wszyscy żyliśmy w wielkiej komitywie.

Przy naszym domu we Włocławku mieliśmy duży ogród i piaszczyste podwórko. Mama hodowała – jak zawsze – krowę, trzodę chlewną i kury, a Ojciec pomagał w obrządku. Po trzech latach pracy w Rejonie, rozpoczęłam studia na Wydziale Rolnym Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Jednak wszystko co dobre, kiedyś się kończy. Nastąpiła kolejna reorganizacja w Lasach Państwowych.

## NADLEŚNICTWO MIRADZ

W 1959 roku stwierdzono, że Rejony Lasów Państwowych się nie sprawdzily, a więc muszą ulec likwidacji. Ojcu zaproponowano pracę w Nadleśnictwie Miradz. Po zapoznaniu się z nowymi warunkami zamieszkania i pracy rodzice zdecydowali się na przeprowadzkę. Siedziba nadleśnictwa była pięknie położona pośród lasów. Obok stał ładny dom mieszkalny z ogrodem i podwórkiem. Tato otrzymał posadę leśniczego administracyjnego z pracą na miejscu. Pewnym utrudnieniem była odległość do najbliższego miasta Strzelna wynosząca pięć kilometrów. Jednak szkoła dla młodszych dzieci była bliżej, bo w oddalonej o dwa kilometry miejscowości Młyn. Moje siostry dojeżdżały tam rowerami. Po skończeniu podstawówki poszły do szkół średnich w Inowrocławiu i wtedy zamieszkały w internacie.

Jeszcze w 1947 roku Tato zapisał się do Polskiego Związku Łowieckiego, jednak do czasu podjęcia pracy w Miradzu praktycznie nie polował. Teraz sytuacja się zmieniła. W Miradzu były znakomite warunki dla myśliwych – rozległe łowiska leśne, a także kwatera myśliwska dla przyjezdnych. W każdą sobotę w sezonie łowieckim przyjeżdżali myśliwi z Torunia, Bydgoszczy i szeregu pomniejszych miejscowości. Byli wśród nich ludzie różnych zawodów, w dużej części profesjonalni i etyczni myśliwi, ale niestety także tacy, co zasady i regulaminy łowieckie mieli za nic. Byli w tym gronie milicjanci i „ubecy”. Mój Tato był na wskroś prawym człowiekiem i nie znosił „bandytyzmu” na polowaniach. Pewnego dnia naraził się owym „ubekom”, kategorycznie protestując przeciwko strzelaniu „do wszystkiego co żywe”. Wkrót-

ce po tej interwencji otrzymał wezwanie do stosownego urzędu, otrzymał nagane i został wyłączony z udziału w polowaniach.

Mama lubiła gościć myśliwych, którzy często przyjeżdżali do Miradza z żonami. Z niektórymi nawiązała bliższe znajomości i przyjaźnie. Naprzeciw naszego domu i podwórka, na skrzyżowaniu dróg, stała osada robotnicza otoczona lasem. W końcu lat 60. XX wieku postanowiono wybudować w tym miejscu hotel dla myśliwych. I tak wkrótce stanął piękny, okazały budynek – kwatera myśliwska, z której chyba do dziś korzystają amatorzy polowań.

Czas mijał, rodzicom i nam przybywało lat, siostry kończyły już szkołę średnią, powróciła myśl o polepszeniu warunków życia i ewentualnie dalszej edukacji i pracy dla dorastających dzieci.

### **NADLEŚNICTWO ŻOŁĘDOWO**

W 1969 roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu zaproponowała Ojcu pracę na stanowisku leśniczego administracyjnego w Nadleśnictwie Żołędowo koło Bydgoszczy. Rodzice pojechali na nowe miejsce i... byli zachwyceni. Wieś ładna i duża, obok siedziby nadleśnictwa był kościół, szkoła, sklep i przystanek autobusowy z bezpośrednim dojazdem do Bydgoszczy. Budynek nadleśnictwa piękny i okazały, otoczony ogromnym parkiem. Połowę budynku zajmowały biura nadleśnictwa, a w drugiej połowie zamieszkiwały dwie rodziny pracownicze. Nasze mieszkanie było ładne i funkcjonalne. Były tam trzy pokoje, duża kuchnia i – co pierwszy raz zdarzyło się moim rodzicom – prawdziwa, przestronna łazienka z wanną, pralką, zimną i ciepłą wodą. Istny raj na ziemi!

Moje siostry dojeżdżały do pracy w Bydgoszczy. Starsza pracowała w Nadleśnictwie Bydgoszcz, młodsza była nauczycielką i dodatkowo studiowała. Rodzice mieli deputat rolny – kawałek pola i łąki. Pracowali na nim wspólnie, a w wolnym czasie i my pomagaliśmy rodzicom. W obórcie była krowa, świnka i kury.

Ze względu na dogodny dojazd i dobre warunki mieszkaniowe często, zwłaszcza w czasie świąt, gościliśmy w naszym domu krewnych z Gniezna, Torunia i Bydgoszczy. Wtedy mama z córkami gotowały i piekły różne przysmaki. Mieliśmy też blisko do lasu, gdzie można było do woli wędrować i przebywać na łonie natury. W tym czasie odbyły się śluby moich sióstr. Wanda ślubowała w drewnianym kościółku w Żołędowie, oddalonym około dwieście metrów od domu, a wesele odbyło się w domu. Młodsza siostra Bogumiła miała ślub w bydgoskiej bazylice.

### **OSTATNIE LATA**

Wszystkie córki Leonarda wyszły za mąż. Ja, po skończeniu studiów na SGGW w Warszawie, wzięłam ślub w Strzelnie w 1961 roku i niebawem wyjechalśmy z mężem na tzw. ziemię odzyskane. Zamieszkaliśmy w Legnicy, gdzie przebywam do dzisiaj.





Rodzina Karolewskich przed domem w Żółdowie w 1972 r. Najwyżej, pośrodku stoją Leonard i Zofia

Ojciec czuł się dobrze w Żołędowie. Pracę miał spokojną i rodzinę blisko. Na święta i część urlopu przyjeżdżał razem z mamą do Legnicy, gdzie mieszkałam z rodziną. Wnuki przebywały u nich przez całe miesiące. Jednak wszystko ma swój kres. Powoli zbliżał się czas emerytury. Ojciec obawiał się samotności i na starsze lata chciał być przy rodzinie którejś z córek. W tym czasie w Legnicy budowaliśmy wraz z mężem dom. Tato przeszedł na emeryturę z początkiem 1975 roku i kiedy nasz dom był ukończony, oboje z mamą przeprowadzili się do nas. Konieczność likwidacji dorobku całego życia i radykalna zmiana otoczenia były dla nich trudne. Z dużego mieszkania z gospodarstwem w Żołędowie przenosili się do dwóch niewielkich pokoi w Legnicy. Wbrew zasadzie, że „starych drzew się nie przesadza”, trzeba było zacząć życie w nowych warunkach.

Rodzice jednak szybko przyzwyczaili się do legnickich warunków. Tato zajął się ogrodem, nawiązał kontakt z miejscowym kołem Polskiego Związku Łowieckiego, bywał na polowaniach. Zawarł wiele nowych znajomości i żył też codziennymi sprawami swoich dzieci i wnuków. Razem z mamą jeździli do sanatorium, na wycieczki, odwiedzali rodzinę w innych częściach kraju. Zdrowie ojcu dopisywało, czasem tylko dotykały go przeziębienia. Toteż wielkim zaskoczeniem dla nas wszystkich było, gdy na jego ciele pojawiły się guzy. Lekarz stwierdził, że trzeba je przebadać i usunąć. Po operacji tato czuł się dobrze. Jeszcze w sierpniu odwiedził rodzinę w Gnieźnie. Z wyprawy wrócił zadowolony. Jednak już we wrześniu usłyszał wyrok – wyniki badań lekarskich wykazały rozwinęty w ostatnim stadium nowotwór oskrzeli. Zmarł w listopadzie 1982 roku.

### **Halina Brzezińska z domu Karolewska**

Zdjęcia: archiwum rodziny Karolewskich